

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDZ

1) Powieść z francuskiego

I.

Nazywam się Karol Kerouan. Urodziłem się w Nantes. Pochodzę z rodziny, która nieraz odznaczyła się w usługach Francji. Ojciec mój przed otrzymaniem dymisy ze stopniem kapłana okrętowego, zaszczytnie figurował w nieśczęsnej wojnie, która poprzedziła upadek pierwszego cesarstwa. Matki mojej nigdy nie znałem. Ponieważ, od dzieciństwa już, okazywałem mało usposobienia do marynarki, ojciec zatem, niezmiernie mię kochający, postanowił, iż poświęcę się nauczycielstwu. Jego zdaniem, każdy człowiek należał do swego kraju i obowiązany był do służenia mu w miarę sił i możliwości. Ja, wyrażając się językiem szkolnym, ukończyłem nauki: *summa cum laude*. W dziewiętnastym roku otrzymałem nagrodę na wielkim konkursie akademickim. We dwa lata potem mianowany zostałem pomocniczym nauczycielem w jednym ze znaczniejszych kolegiów paryskich. Stanowisko to, prawie wyjątkowe dla młodzieńca dwudziestoletniego, dostało mi się, wyznać to muszę, raczej dzięki stosunkom mojego ojca aniżeli dla tego co uprzejmie nazywano: „mojemi zasługami”. Pozwoliło mi ono osiąść w Paryżu. Sześć tysięcy franków dochodu, otrzymanego w spadku po matce, wraz z pensją do urzędu mego przywiązana, tworzyły wcale zasobny budżet, którego mogła mi zazdrościć większa część moich kolegów. Z pewną dumą mogę powiedzieć, iż w pierwszych latach mego nauczycielstwa oczy całego uniwersytetu były na mnie zwrócone. Karyera moja zdawała się być z góry nakreślona: miałem ożenić się po należytym ustaleniu mojej pozycji i prawdopodobnie zostać z czasem wicerektorem w Paryżu. Niepodobna profesora i posunąć się wyżej, chyba by powołany został na ministra oświecenia publicznego. Przyjaciele moi, żartując czasami z niejakią przymieszką ironii, ukazywali mi ten wysoki urząd jako niezawodne uwiecznienie mojej kariery. Ale posiadając nieco zdrowego rozsądku i nie mając zbyt wygórowanej ambicji, nie mogłem powstrzymać się od tego, by nie śmiać się z tej przepowiedni, bardzo wszakże podchlebiającej mojemu ojcu.

II.

W dzieciństwie jeszcze dałem dowody, iż jestem namiętny i obdarzony niezwykłą czułością. Od dziesiątego roku życia nie umiałem kochać w polowie. Kochałem, albo nie kochałem; pośredniego nic nie było. Raz oddawszy serce, nie podobna mi było go oderwać. Kochałem, że tak powiem, mimowolnie i nie tyle wskutek zastanowienia się ile raczej wskutek usposobienia. Jedne osobistości pociągały mnie ku sobie, drugie odpychały; a wszystko bez motywów i powodów. Na nieszczęście, nie zawsze wybór mój padał na najgodniejszych.

Powiedziałem, że obdarzony byłem wielką wrażliwością, do tego dodam, iż właśnie to usposobienie, którego mi wielu zazdrościło, miało spowodować nieszczęście całego mego życia. Fakta pozornie nic nie znaczące, spełniając się w dziedzinie uczucia, przybierały dla mnie niesłychanie wielkie rozmiary. Jedno zmarszczenie brwi mego ojca pobudzało mnie do płaczu; od każdego surowego wyrazu moich nauczycieli, błądłem. Często dość było jednego uprzejmego słowa, by mię zniewolić do nadmiaru pracy, mogącego narazić moje zdrowie. Ale za to, nasmiewanie się, choćby najłżejsze, sprawiało mi przykrość, a jeżeli znajdowałem obojętność w sercu, które uznałem za godne do współczucia ze mną, doznawałem gorzkiej boleści. Zdawało mi się, iż serce to, wymykając mi się, narażało mię na upokorzenie niezasłużone.

III.

Aby być dobrze przyjętym w towarzystwie paryskim, na to wystarczało mi nazwisko mego ojca. Pewna świetność, jaką je okryłem, otworzyła mi podwoje świata urzędowego. Tu jesz-

cze muszę nadmienić o szczególnej właściwości mego charakteru; tak jak większość młodych ludzi, którzy ukończyli nauki w uniwersytecie, miałem wszystkie dane po temu, by nabyć wstępu do towarzysztw, a pomimo to, świat mię pociągał. W polityce byłem jednym z tych liberałów, dla których tylko Waszyngton jest ideałem; będąc wolnomyślnym w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu, nie przyznawałem pod żadnym pozorem, prawa ograniczenia komuś publicznego wyrażania swych zapatrywań. Stan odrętwienia, w jaki pogrąża się coraz bardziej społeczność francuska, jakby znudzona swą ciężką pracą, martwił mię głęboko. Jedną tylko nauką, surową, zawziętą, była w stanie wyrwać mię ze smutku, jakiego doznawałem patrząc na mój kraj, beczynninie zaskorupiający się w rozkoszach złudnego bezpieczeństwa. Ta społeczność, próżniacza, płocha, którą przez swą obojętność, konwencyonalność, przesył dziwne sposoby zabijania czasu, jest tak dobitnym wyrazem socjalnego stanu, nie mającego prawie podobnego sobie od czasu jak Francja istnieje, społeczność ta wywierała na mnie pewien rodzaj uroku! Było to coś dziwnego i chorobliwego w zajęciu, jakie ona we mnie wzbudzała. Czułem, że jest różna treści, fałszywa, płocha, okrutna, samolubna — i olśniony urokiem jej pozorów, instynktowo Ignąłem do niej, jak gdyby była zbiorem wdzięków i piękności. Niech kto jak chce tłómaczy takie usterki charakteru nie mającego w sobie nic zniewieścialego, który przytem zahartowany był specjalnym kierunkiem edukacji, całkiem męskiej. Dziś, pozbywszy się wszelkich złudzeń, dzięki jednej z najsurowszych lekcji, mogę tylko ze zdumieniem skonstatować ten fakt, który tak fatalny wpływ wywarł na moją karierę.

IV.

Jednym z domów, dokąd najchętniej uczęszczałem, była ambasada angielska. Znajdowałem tam całe przedmieście St. Germain, dyplomację i znakomitości naukowe. Jako młody i nieznany Bretończyk, trzymałem się o ile można w cieniu. Tyle tam było książąt, ministrów, senatorów i nawet osób prawdziwej zasługi! Zaledwie śmiałem poruszać się, z obawy by komu nie ubliżyć. Dziewicze serce moje uwielbiało w milczeniu arystokratyczne piękności, błyszczące przedemną i nie troszczące się o młodego profesora, który jednak z pamięci mógł wyrecytować genealogię niejednej z nich. Powtarzałem sobie z dziecinny smutkiem, iż ten świat gwiazd nie dla mnie jest stworzony, że wolno mi oglądać go, ale nie żyć jego życiem; przypuszczałem, że musi on mieć cudną i sobie tylko właściwą inną jeszcze stronę, której zapewne nie poznam nigdy. Gryzłem się tem — nieroztropny, iż mogłem go oglądać nie więcej, jak dziesiątek razy przez zimę, i czułem zarazem, jak pociąga mnie ku niemu niepokonana ciekawość.

V.

Raz na wiosnę, roku 18... — miałem wtedy rok dwudziesty piąty — udałem się do ambasady na ostatni wieczór tego sezonu. Było to w końcu maja i pamiętam dobrze, iż upał był nieznośny. Salony recepcyjne znajdowały się na dole pałacu, drzwi były pootwierane; niektórzy goście błąkali się po ogrodzie, oświetlonym lampami w kwiatkach ukrytymi. Wieczór ten szczególnie cechowała pewna jakaś poufała zażyłość. Nie było prawie nic urzędowego. Dźwięki doskonałej, niewidzialnej orkiestry zaledwie tłumyły nieco szmer rozmów. Wszystkie prawie kobiety przystroiliły się w żywe kwiaty, napelniające salony cudną wonią.

Cóż jeszcze powiedzieć? Wieczór ten, na który tak łatwo mogłem nie pójść, miał dla mnie takie skutki, iż dziś jeszcze nie mogę mówić o nim bez ścisnięcia serca. Chciałbym zastanowić się nad nim, zbadać pod jakimi zgubnymi wpływami musiałem być wtedy, gdy nic mię nie przygotowało do błogiego, a zarazem zgubnego wrażenia, które tak dotkliwie wpłynęło na moją przyszłość. Próżne żale! Zbytecznej! Powiedzianem było, iż dzień ten będzie dniem mojej zguby i pogląd wstecz nie złagodzi goryczy tych żalów.

VI.

Przez niejaki czas zabawiałem się oglądaniem toalet kobiet i rozmową z kilku znanymi mi osobami. Koło północy zamierzałem oddalić się, gdy wtem, zwróciwszy się ku jednemu drzwiom,

uczulem, iż nogi moje zaplątały się w długą suknię z okonem. W tej samej prawie chwili lekki krzyk niezadowolenia zniewolił mię do odwrócenia głowy. Dama, która krzyknęła, nie mogąc iść dalej, stała, w tył wychylona i spoglądała na mnie bokiem; ja zaś, zmieszany moją niezgrabnością, napróżno usiłowałem przywrócić jej wolność. Belkocąc kilka wyrazów z prośbą o przebaczenie mojej niezręczności naturalnie musiałem spojrzeć na nią. Odeszła ze spuszczo-nemi oczami ale z dumną miną.

W tej chwili uczulem, jakby nagle drgnienie w całym ciele. Ja, którego serce, w chwilach najżywszego wzruszenia, biło tylko dla przyjaźni, teraz drgnąłem jakby szaleem nagłym opanowany. Nie wiem jak się rodzi miłość u innych ludzi, wiem tylko, iż, mniej niż w jedną sekundę byłem oczarowany i ta miłość mną zupełnie oślawiała. Bez przesady powiedzieć mogę, iż od jednego spojrzenia byłem rażony jak piorunem. Serce moje, życie, wszystkie moje myśli, jak gdyby nagle kto je zerwał z podstaw, przeniosły się ku tej kobiecie. Wszystko to zabrała ona z sobą, powlokła w falistych fałdach swej rozdartej sukni.

Powróciłem, by pójść za damą, nie mając bynajmniej przeświadczenia o tem, co robię. Z rozkoszą patrzałem na nią. Cóż w niej mogło mię tak roznamiętnić? Była średniego wzrostu i bardzo kształtnie zbudowana. Kibić miała harmonijnie zaokrągloną, arystokratyczną głowę wieńczyły włosy w kunszlowne spłoty ułożone, jeden ich pukiel, jakby wybiegłszy z szynionu, spadał na ramiona, a ramiona te miały cudne dolki. Pod czołem, nieco nachmurzonym, błyszczały szafirowe oczy, a wśród ślicznie zarysowanych ust ukazywały się białe zębki, ostre jak u kota. Nie było nic wykwintniejszego nad jej chód i dyktynę węższego nad ruchy. Co zaś najwięcej w niej pociągało, to ów wyraz twarzy zarazem wyniosły i obojętny, zalotny i pogardliwy, arystokratyczny i wesoły, lekkomyślny i rozważny, który zdradzały ostre linie nosa, sposób trzymania głowy, wdzięk ust, sposób w jaki patrzała, mówiła, chodziła. Być może, iż znajdują się kobiety piękniejsze, ale to pewna, że na całym świecie nie znalazłaby się druga osoba lepiej zaopatrzona we wszystko możliwe dla zawrócenia młodzieńczego serca. Czuła, że jest królową. Holdy, których nie szukała, przychodziły do niej jakby same z siebie i czuć było, iż, zdaniem jej, wyświadczyła ci łaskę, gdy raczyła raz rzucić na cię swym pogardliwym wzrokiem.

VII.

Od chwili, w której poszedłem za nią, wszystko dla mnie rozświetliło się w salonach, wszystko przybrało wspaniałe rozmiary. Orkiestra wygrywająca walce niemieckie, wydała mi się o tysiąckroć bardziej harmonijna, aniżeli ta, którą w marzeniach przypisujemy aniołom. Kwiaty nabrały więcej blasku i szczęście wiało zewsząd jak lekki podmuch wiatru. Czułem się wesołym i rozrzuconym; zdolności moje spotęgowały się. Ten świat przepychu i dystynkcji będzie więc w końcu i do mnie należeć; więc i ja wreszcie wezmę udział w jego tajemniczych rozkoszach! Byłem tak uniesiony, iż nawet nie zapytywałem sam siebie, czy też jest możliwość, bym kiedy był kochany. O jednym tylko myślałem: posiadać oczami tę niebiańską istotę.

VIII.

Przeszło dwie godziny stałem, patrząc na nią, słuchając dźwięku jej głosu, śledząc każdy ruch. Dama ta siadała niedbale, z pyszną miną, panując nad wielkim wieńcem kobiet młodych i mężczyzn. To znowu wstawała leniwie i drobnym krokiem przechadzała się po ogrodzie. Chciałem dowiedzieć się o jej nazwisko; zapytałem więc o nie jednej z dam, której właśnie uściśnęła rękę.

— Jakiś? — zawołała zapytana — pan nie znasz? To hrabina Chailis.

Odpowiedziałem, iż wiele już słyszałem o hrabinie, jako o osobie wysokiej wykuintności, ale nigdy jej nie spotykał.

— Żaloba rodzinna zatrzymywała ją w domu. Przez całą zimę była niewidzialną. Zdaje się, iż wywarła ona na panu bardzo żywe wrażenie — dodała z uśmiechem zapytania.

(Ciąg dalszy nastąpi)